

STANISŁAW SŁAWIECKI.

Z CYKLU: „NA STRUNACH DUSZY“.

Fragmenty.

Rozkaz.

Nie mylił się.

Rozkaz wiódł ich wciąż na rodzinną jego wieś. Noc ich osnuła, cisza śpiących pól towarzyszką była nieodstępna. Chłód wiosennej nocy znużone krzepił ciała, przyjaźnie otulał; zapach zaoranej, budzącej się do życia ziemi radosne budził wspomnienia, nadzieją szczęsnych poit dni...

Z nocnej ciszy, z uśpionych pól szepty szły tajemne, drżące... słowa przedziwnej szeptały tęsknoty, pragnień budziły moc.

Z głębin duszy, z najtajniejszych zakątków, tyśiącem przejść w niepamięć zepchnięte, starością setek dni przybladłe, zgębnione wspomnienia jęły się budzić do życia... radosne, jak słowicze pienia, uśmiechnięte, jak wiosny poranek. Jak młode dziewczę życia tajemnicą nęczone, nieśmiało jęły podnosić głowę, tęskniami duszy spojrzwały oczyma, drogie, kochane, jak najmilsza pieśczęta...

Kołysała je myśl miłośnie, jak matka dziecię dawno wytęsknione, jak sen radosny, jak marzenie złudne... Poila się nimi, upajała.

A one... rozprostowały, już rozpięty skrzydła i niosły tęskne, rozmodlone myśli w dal, w nocnej gubiły się ciemni, nad rodzinnym zawisnęły gniazdem.

Zadrżało serce, jakby tajemną, przemożną, pierwszej naiwnej miłości siłą zniewolone. Drżało przedziwną radością, niewypowiedzianej nabierając mocy.

Śmiały się oczy i śmiały się usta, radosne szczęścia szeptały wyrazy.

Rozkołysało się serce, jak dzwon o czarownych tonach... rozbrzmiewało tysiącem upajających, pełnych niepojętych tajemnic, dźwięków, a tak serdecznych, tak dobrych, tak swojskich...

Zapomniana tęsknota z głębin duszy porwała się z niezwykłą siłą i wybuchła potokiem niezrozumiałego szeptu, pytań, zachwytów, bez żadnego związku.

Każda minuta nieogarnioną stawała się wiecznością, bez początku, bez końca, niedobrą, mglistą... Miesiące walk i niepokojów, trudu i znojęw, niczem były z temi chwilami oczekiwania, z tą tęsknotą całem owładającą jestestwem.

Oko usiłowało przesyć, niby ostra strzała, cień nocy i ujrzeć już... już... w zieleni drzew tonący dom biały...

...Cichy, biały dom...

Gniazdo kochane, marzeniem osnute, w myślach długich, nieprzespanych nocy w cudny zmienione pałac, uroków pelen, czarów niepojętych...

Śmiały się oczy, rozchyliły się usta i szeptały przedziwną rozradowanego, utęsknionego serca modlitwę.

...Zielone lipy kwitnące długim się wiją szeregami, do okien starego dworu niemal zaglądają...

W ogródku pod oknami kwiatów barwny rozścielił się dywan... pachną lewkonie, rezedy... ciche bratki dyskretnie, kolorowymi patrzą na cień oczyma, uśmiechnięte, pocziwe...

A wśród nich szczupły, wysoki staruszek, jak siwy gołąbek krząta się, ogromnie swą czynnością przejęty... jak ojciec wśród dzieci...

Na ganku, w cieniu pnącego się po słupach okrągłych dzikiego wina staruszka-matka siedzi i coś tak szyje pilnie, wyszywa na kanwie... pewnie do kościółka ofiarę za syna...

...Łzy ma w oczach starowinka, ręce drżą wzruszeniem nieprzespanych nocy...

— ...Wróć się, mój synu?...

— ...Czekamy na ciebie... i pola te nasze czekają... matka-ziemia nasza na swe syny czeka...

— ...Któż ją po naszym zaorze zgonie?...

...W czyje przejdzie ręce ostatnia nasza nadzieja, ostatnia ostoja...

— Komu błogosławić będzie, gdy prawych jej synów zabraknie, a obcy rzucają się, by ją wyzyskać, splugawić?...

Dziecięcych uciech świat przed oczyma mu stanął, setkami złudnych barw zamigotał i zniknął, rozpadł się...

Daremnie nurzały się oczy w ciemnościach nocy, nie wróci się już nic, co było, minęło. Daremnie wysilać myśl, daremnie szukać złudzeń...

Dzień wczorajszy... to echo blade wśród ruin przeszłości błędzące...

Teraźniejszość zimna, w przymglone marzeniem spogląda oczy...

Życie...

Daremnie myślami gonić to, co przepadło; przepadło i nie wróci już...

Cofać się nie można, każdy krok, każda chwila konsekwencye za sobą pociąga, zamyka odwrót. Przed siebie... przed siebie!...

— Przeszłości ma, radosne dni!... — wołało coś w głębi duszy, jakby trwogi głos — o jutro...

— Przeszłości ma, jasne dni... wróćcie?...

I znowu zatrzepotało serce, znowu myśl lekko-skrzydła w dal ciemną pomknęła, u progu białego domostwa usiadła, tęskna, milcząca, zadumana.

A w duszy rwące drżało pytanie, coraz natarczywsze, niespokojne, trwożne...

— Wróćcie wy... przejasne dni, pogody, słońca, braterstwa?...

— Wróćcie?...

— — — — —
Swit się skradał szary.

Zarysowały się blade kontury drzew, z rzadka mijane domostwa.

Długi wąż sunął drogą, wśród śpiących jeszcze, mgłą zasłanych pól, wąż ciężko toczących się zaprzęgów i grupami postępujących ludzi.

Chwilami łoskot rozlegał się głuchy, brzęk stłumionny żelaza... turkot kół, po świeżo kamieniami wysypanej drodze.

A potem wszystko cichło, przepadało, jakby je pochłonięła bez kresów przestrzeń; oczy patrzyły gdzieś w szarą dal bez granic, w jakiś świat bez życia, myśl gubiła się w jakimś labiryncie, przyniatającym swym strasznym ogromem...

...Człowiek jakimś pyłkiem się wydał małym na stromem urwisku i toczył się w dół, w przepaść przestrzeni... bez końca, bez końca...

...byle dna dopaść... upaść, runąć bez pamięci, spocząć na wieki w spokoju i przestać myśleć!

Przepaść nad nami, w koło nas, przepaść u naszych stóp... bezkres... tajemnica straszna, nie do odgadnienia. Myśli się mąca, ból się rodzi...

Stałowy brzęk łańcucha, głos komendy; w dali, na początku sunącego węża koń zarżał...

Pierzchły złe myśli.

Swit wstawał rumiany, złota zorza pierwsze wysłała poświty.

Uzłocili się rosą uśmiechnięte role, tysięczne listki drzew...

Zaśmiało się naraz wszystko.

Uśmiech okraślił usta, zabłyszczały radością oczy, śmiały się myśli w jakimś dziecięcym upojeniu, śmiały się nie wiedzieć dlaczego i po co? — tak sobie... Byle się śmiać, byle się zaśmiewać, bo chwila i przyjdzie kres...

Radość zdradzi, zostanie ból... a potem tylko żal...

Więc śmiały się myśli radośnie, oczy wysłały na zwiady promienne błyski...

Tu, tu... wieżycy kościółka, ta sama, ta... Między czterema filarkami na szczycie, dzwonek jak dziecinna zabawka... tak, tak... kościółek...

Wokół cicha wieś, chałupki niskie o małych okienkach, pocziwe chałupki... śpią...

...A tam opodal, na lekkim wzniesieniu... cichy, biały dom...

...gniazdo kochane, marzeniem osnute, w myślach długich, nieprzespanych nocy w cudny zmienione dworzyszczce...

...Ojciec staruszek i matka staruszka...

...„Wróć się, mój synu?“... śni się jej pytanie, pytanie straszne, wielkie... takie proste, krótkie, a tak długie, zawile, że mało dlań dnia, mało całych nocy...

— Wróć się?...

— Czekamy na ciebie i pola te nasze czekają... matka-ziemia was czeka...

— Wróćcie walczyć?...

Zatrzepotała radosna myśl, łomotało serce.

— Jedziemy, jedziemy... jesteśmy już tuż... tuż...

Serca wam pewnie drżą przecuciem... radość ku wam idzie...

Wychyliła się z cienia szeroko, w małej dolinie, rozrzucona wieś. Pierwsze promienie wschodzącego słońca kościelną uzłocili wierzyckę i drgały tęczą barw.

Nie witał wschodzącej zorzy dzwonek kościelny poranną modlitwą, nie piał kury, nikt się nie pokazał u progów domostw, wschodzący powitać ranek.

Dziwna pustka wśród wiejskich rozsiadła się chałup; cisza... Rzekłbyś, że przecucie tędy przeszło i przepłoszyło wszystkich.

Nikt więc nie wyszedł naprzeciw nadchodzących? Nikt nie przeczuł, że przyjdą?...

Stanęli wśród miękkich ukryci zarośli. Rozkaz brzmiał jasno... Zajęli stanowisko.

Nieme paszcze armat lekko uniosły się w górę i milcząc czekały. Cekały spokojnie na chwilę sposobną, by zacząć dzieło zniszczenia.

Zadygotało serce... zadrgały nerwy, myśli w niemem zastygły przerażeniu.

Przepaść się czarna rozwarła wkoło i wszystko jęło się walić w proch, gruzy...

Spazmatyczny, straszny szloch w duszy rozszał się jak orkan.

...Przeszłości ma, radosne dni!...

— Wróćcie?... — lękliwy w myśli wdarł się szept i zamikł. Zgłuszyła go zrywająca się wrzawa, ogłuszający huk, łomoty... przelatujących pocisków świsty...

Chwilę czekali.

Rozkaz! Zamary myśli, konało serce... W biały cichy dom... cel...

Jakiś dziki w duszy zbudził się skowyt, bunt podniosło serce, gorączką pałały oczy...

Pał!...

...Nie widać wokoło nic... tumany dymu przysłoniły, w głowie szum...

...biały, cichy dom... ojciec staruszek i matka staruszka...

Jakże dziwnie kołysze się świat... co za szum?

— O dwieście metrów za daleko!...

Znowu rozkazy krótkie, urywane.

Do serca mu celują... widzi czarną paszczę stalowego potwora... huk... trafili w samo serce...

Na mogile.

Skądś przyszedł, gdzie twój dom, ojczyzna?... Czego pragnąłeś, za czym tęskniłeś... tajemniczy jesteś, tajemnicą śmierci... poważny jesteś kredową bielą twarzy, łukiem zaciśniętych w bólu ust...

Straszny jesteś sztywnością przedziwną, co od twej bije postaci, lodowatym chłodem, jaki od ciebie wieje, wyrazem szeroko rozwartych oczu...

Krzyk z nich leci... niemy krzyk...

Zamknąłeś w sobie tajemnicę wielką, tajemnicę życia i milczysz. Nikt ci nie zdoła jej wydrzeć z pod zaciśniętych szczęk, nikt się nie dowie, kto był... Żyłeś... a teraz?...

Byłeś piękny, byłeś młody...

Kości pod przezroczystą niemal rysują się skórą, oczy straciły blask, krew uciekła z warg, zastygła.

Czy szczęście było ci w życiu udziałem, czy radość jasne dawała ci chwile... czy odpoczynkiem będzie ci pieśczęta ziemi?...

Nikt ci nie zdoła wydrzeć tajemnicy.

Tajemniczy jesteś i poważny; straszny jesteś w tej powadze śmierci...

— — — — —
Rozwarła się pod razami kilofów i łopat zmarznięta ziemia i przyjęła go do swojego łona.

Spoczął na dnie wykopanego dołu i znikł pod masą sypiącej się ziemi.

Legł przytłoczony ciężarem błogosławionym na wieczne zapomnienie... Robactwo wkrótce rozpocznie swą pracę i nie pozostanie po nim wkrótce nic, prócz białych kości...

...Gdzieś w dali ścisną się kochające serca, zapłaczą dobre oczy... żal się obudzi, ból i rozpacz... A potem przyjdzie Czas i jak robactwo w łonie ziemi, rozpocznie swą nieubłaganą pracę.

Zatrą się rysy, zabliznią się rany, wspomnienia zostaną smutne... a potem... Zbledną wspomnienia i pamięć wygaśnie, życie odzyska swe prawa.

— — — — —
Zazieleniły się pola... słońce miłośnie ogrzało ziemię, zaśmiały się polne łąny.

Rozpadł się drewniany krzyż na mogile, ułańskie zniknęło czako... polne kwiecie wzgórek kryje... kwitną bławatki i maki, storczyki i polne lilje, chylą radośnie swe główki, pod wiatru łagodną pieśczętą...

Na kwiatkach siadają motyle i pszczoły szukają słodczy...

Wkoło ptactwa rozhowory, opodal dzieci śmiech... Co za bujne wzrosło kwiecie...

...może który z barwnych kwiatów w sercu twem, ułanie, swym korzeniem tkwi... może ssie twą tajemnicę... On nie zdradzi cię...

K O N I E C

